



---

**Ewa Stawicka****KSIEŻYC I INNE BAJKI**

---

**S**zczegółowo nazwane, a nawet ujęte w tabelki, są różnice między baśnią a bajką. Poprzestańmy na ogólnym przypomnieniu, że tradycyjnie definiowana bajka ma zwięźle przedstawiać rzeczywiste prawa rządzące życiem, natomiast baśń – idealizować, fantazjować i „nieść pogodę”. No i istnieje nadto legenda – opowieść osnuta wokół osób i zdarzeń autentycznych lub przynajmniej za autentyczne uważanych; ta może zbliżać się do baśni albo do bajki.

Podanie o mistrzu Twardowskim jest mieszaniną cech obu gatunków, z przewagą elementów jednego albo drugiego. Stopień owej przewagi zawsze zależał od pędu wyobraźni autora danej wersji. Najmocniej rozhuśtał imaginację wieszcz Adam Mickiewicz, który odwrócił kierunek mitu nakazując by to diabeł, nie zaś czarnoksiężnik, salwował się ucieczką mając w perspektywie – jako cenę za duszę kontrahenta – rok pożycia z jego połowicą.

Powiadają, że Jan Twardowski był autentycznym dworzaninem Zygmunta Augusta, utalentowanym alchemikiem który przy użyciu magicznego zwierciadła zdołał na chwilę przyzwać przed królewskie oblicze ducha zmarłej Barbary Radziwiłłówny. Lustro takie – polerowany prostokąt z metalu, z charakterystycznym spękaniem – jest przechowywane w zakrystii parafialnego kościoła w Węgrowie. Nadbudowana nad tą opowieścią kolejna legenda ukazuje idącego w 1812 r. na Moskwę Napoleona, który – posłyszawszy o znajdującym się niedaleko od trasy przemarszu eksponacie – każe go sobie zademonstrować; lustro ukazuje mu nieodległą klęskę, na co Wódz reaguje wściekłym weń uderzeniem – i stąd właśnie pęknięcie zwierciadła.

Większość zapisanych historii o mistrzu Twardowskim kończy się jego pomyślnym lądowaniem na srebrzystym satelicie, gdzie ani czartowska moc, ani siła ziemskiego przyciągania dostępu nie mają. A przy tym wszystkim objawia się faustowski motyw dążności ku rozpoznaniu sensu istnienia, za które Ziemianie gotowi nawet i duszę oddać na wieki we władanie Złego. Ale nie jest to równie przejrzyste jak w niemieckim pierwowzorze. Polacy pogłębili jądro opowieści, bo przecież nasz czarnoksiężnik wcale nie traktował serio podjętego zobowiązania, zamierzał natomiast przechytrzyć czarta używając użyczonej przezeń nadprzyrodzonej mocy do czynów altruistycznych: uzdrawiania ludzi i zwierząt. Do pacjentów swoich podróżował diabelskim, to znaczy kogucim, transportem.

Dosyć rzadko wystawia się dzisiaj balet Ludomira Różyckiego; szkoda, bo ta udana adaptacja stanowi jeden z najbardziej uroczych sposobów zilustrowania muzyką baśni, i to z pointą godną najdosłowniejszych bajek: cyrograf opiewający na oddanie biesowi duszy w Rzymie staje się bezużyteczny, ponieważ Twardowski w krytycznym momencie nuci nabożną pieśń.

Spod pióra Józefa Ignacego Kraszewskiego wyszło dzieło zatytułowane: *Mistrz Twardowski. Powieść z podań gminnych*. Jak przystało na luminarza literatury, autor podszedł do zadania z pełną powagą, przedstawiając prawną stronę potyczek krakowskiego alchemika z czartem – wszak własną krwią podpisany cyrograf należałoby uznać za pisemnie złożone oświadczenie woli, stanowiące element umowy. Mamy w powieści szczegółowe sprawozdanie z przebiegu negocjacji. Twórca dodatkowo zagmatwał jeszcze rzecz od strony faktycznej oraz prawnej, czyniąc przedmiotem diabelskiego paktu duszę nowo narodzonego syna Twardowskiego, którą okultysta, jako żywo, skutecznie zadysponować nie mógł.

Aż po wiek XIX, wszyscy którzy twórczo wykorzystywali legendę o mistrzu Twardowskim koncentrowali się na najcenniejszym z możliwych przedmiocie umowy, czyli duszy. Ucieczka przed wykonaniem umowy na Księżyc okazywała się rozwiązaniem ratunkowym: nieśmiertelną psyche udawało się spryciarzowi ocalić za cenę oddalenia się na zawsze od Ziemi.

XX i XXI stulecie przekreśliły radykalnie tamtą perspektywę. Oto nasz satelita i w ślad za nim kolejne planety oraz inne kosmiczne obiekty, jeden po drugim stają się materialnie namacalne, dostępne dla ludzkiej stopy, a przez to – handlowo atrakcyjniejsze aniżeli wieczysta kondycja ludzkiej istoty. Właśnie kończy się rok, w którym położono akcent na 50. rocznicę pierwszego lądowania człowieka na Srebrnym Globie. Z wypowiedzi astronautów (od 1969 r. pojawiali się na Księżycu w sumie sześciokrotnie) można wnosić, że doznanie transcendencji było u nich dominujące. Ale to nie wysłannicy naszej

planety zainspirowali jednostki, które eksplorację kosmosu postanowiły przekształcić w biznes.

Dennis M. Hope był bez grosza przy duszy, do czego zresztą przyczynił się jego rozwód z żoną (mickiewiczowsko: żoneczką), gdy w 1980 r. wpadł na pomysł zawłaszczania i następnie sprzedaży ciał niebieskich. Ów obywatel Stanów Zjednoczonych Ameryki utrzymuje się od paru dziesięcioleci wyłącznie z handlu działkami położonymi na Księżycu, Marsie, Merkurym, Wenus. Koncept był prosty: wykorzystać niedopowiedzenie w brzmieniu Traktatu o przestrzeni kosmicznej z 1967 r. Dokładniej – jest to układ o zasadach działalności państw w zakresie badań i użytkowania przestrzeni kosmicznej łącznie z Księżycem i innymi ciałami niebieskimi, podpisany 27 stycznia 1967 r. przez przedstawicieli rządów Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckiego w stolicach tych trzech państw, a ratyfikowany łącznie przez 108 państw. Zgodnie z wymogami jakie stawia Karta Narodów Zjednoczonych, Układ został zarejestrowany przez Sekretariat ONZ 30 listopada 1967 r. Na mocy Traktatu kraje będące jego sygnatariuszami zobowiązały się – między innymi – nie umieszczać broni nuklearnej bądź innej broni masowego rażenia na orbicie okołoziemskiej, na Księżycu ani gdziekolwiek indziej w przestrzeni kosmicznej. Księżyc i inne ciała niebieskie mogą być wykorzystywane wyłącznie do celów pokojowych i wzbronione jest eksperymentowanie z jakąkolwiek bronią, przeprowadzanie manewrów wojskowych, stawianie instalacji o charakterze militarnym lub fortyfikacji. Sformułowano zasadę niezawłaszczalności kosmosu przez jakikolwiek naród oraz ukuto zasadę, że eksploracja i wykorzystanie przestrzeni kosmicznej powinny służyć dobru wszystkich państw.

Traktat z 1967 r. nie określił dokładnej granicy między przestrzenią powietrzną a kosmiczną (zwyczajowo lokuje się ją na około 100 metrach nad ziemią, tam gdzie świeci zorza – jest to tak zwana linia Kármána). Co istotniejsze – nie wprowadził zakazu apropiacji obiektów położonych we wszechświecie przez podmioty inne aniżeli narody bądź państwa. Przedsiębiorczy Amerykanin sporządził wobec tego pismo skierowane do ONZ, w którym zawarł oświadczenie, iż jako osoba fizyczna, dokonuje oto zawłaszczenia ziemskiego satelity i planet Układu Słonecznego, jak również informację, że zamierza podzielić owe ciała niebieskie na działki i sprzedawać je jako właściciel. Zaznaczył również, że wzywa ONZ do przedstawienia prawnych obiekcji jeżeli Organizacja miałaby takowe. Podobno nie otrzymał żadnej odpowiedzi, co uznał za milczącą akceptację.

Od tamtego momentu imć pan Hope zhandlował ogromne połacie pozaziemskich gruntów. Nabywcy pochodzą łącznie ze 193 krajów. Jako dowód własności otrzymują pisemne certyfikaty. Interes wygląda na rozwojowy. Chyba nie warto się silić na zestawie-

nie przyczyn, dla których ludzie decydują się płacić za te dziwaczne dokumenty. Handel prowadzony jest przez wyspecjalizowane firmy o dobrze brzmiących nazwach, jak na przykład *Moon Estates*.

Międzynarodowe porozumienia, którymi usiłowano regulować stan prawnej neutralności kosmosu, datują swój początek na czas powojennego wyścigu zbrojeń pomiędzy Związkiem Sowieckim a Stanami Zjednoczonymi Ameryki. Wytężona w połowie XX w., gorączkowa dążność obu mocarstw do osiągnięcia niekwestionowanej przewagi militarnej, doznawała w kosmosie dobrowolnych ograniczeń. Nie można wykluczyć, że u ich źródła leżał jakiś element solidarnej pokory wobec Nieznanego, świadomości że nie należy kusić sił, które mogą się wymknąć całej ludzkości spod kontroli.

Początek obecnego stulecia cechuje coraz wyraźniejsze chwianie się dwubiegunowego układu sił, który ukształtował się w wyniku II wojny światowej. Owoce tego stanu rzeczy są wielorakie. Między innymi, następuje erozja ustalonych przed ponad półwieczem reguł eksploracji kosmosu. Teraz nie tylko pojedynczy obywatel o optymistycznie brzmiącym nazwisku zawłaszcza dla siebie fragmenty wszechświata. W oparciu o praktycznie ten sam argument, którym posłużył się Mr Hope, w 2015 r. przyjęto w Stanach Zjednoczonych ustawę zezwalającą na wydobywanie kosmicznych surowców. Europa nie pozostała w tyle: w 2017 r. Wielkie Księstwo Luksemburga wzbogaciło system swych regulacji wewnętrznych o ustawę traktującą o eksploracji i wykorzystaniu zasobów kosmicznych. Organizacja Narodów Zjednoczonych, jak wynika z oficjalnych przekazów, dotychczas nie wypracowała spójnego stanowiska w tej kwestii i nie zamierza też aktualizować Układu z 1967 r. Nawet jeżeli wierzyć, że w istocie idzie tylko o biznesowe promowanie narodowych myśli technicznych w oparciu o substancje które zdobyć można odrywając się od macierzystej planety, to i tak promieniowanie bijące od tego rodzaju idei zdaje się skupiać w pękniętym lustrze Twardowskiego.

Wygląda to wszystko bynajmniej nie na baśń, ale na ponurawą bajkę. A gdzie jej morał? W jego poszukiwaniu trzeba będzie uważnie wsłuchiwać się w pianie czarnego kura.